№ 9. WARSZAWA, 12 MAJA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie: z odnosz. do domu r. k.		Z przesyłką pocztową: r. k.	
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyń.	— 20
Numer pojedyńcz.	— 15	Za zmianę adresu	— 22

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji

Wiejska Nr. 15.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 5 —prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownych Prenumeratorów prosimy o nadsyłanie przedpłaty, a także adresów dla N-ów okazowych.

Zwracamy uwagę na nowy ADRES Redakcji i Administracji „Przeglądu Społecznego", ulica WIEJSKA № 15.

O ruchu robotniczym w Anglji.

Trade-Union'y angielskie przeżywają obecnie nader ciekawą i pouczająca fazę. Ich okrzyczany przez burżuazję i stawiany za przykład wszystkim organizacjom klasowym proletarjatu — „neutralizm" przechodzi ostre przesilenie, coś się poczyna psuć w państwie dobrych obywateli angielskich.

Ojcem Trade-Unionów jest Robert Owen, niewzruszony idealista, który w pierwszych organizacjach proletarjatu chciał widzieć środek do całkowitego wyzwolenia klasy roboczej oraz jądro przyszłego ustroju społecznego opartego na wolnych stowarzyszeniach wytwórczo-spożywczych. Stowarzyszenia zawodowe miały być terenem obrony wspólnych interesów klas wyzyskiwanych, terenem organizacji armji proletarjatu, dla walki z jednej strony z wyzyskiem kapitału, z drugiej—w kierunku wyzwolenia pracy. Związki angielskie doskonale zastosowały się do pierwszego z tych zadań, lecz odstąpiły prawie całkowicie od kierunku wyznaczonego.

Do długoletniego powodzenia związków angielskich (Trade-Unions) na gruncie zachowawczym—przyczyniły się powodzenia Angli na rynku wszechświatowym Monopol przemysłowy Anglji dal możność burżuazji robić znaczne ustępstwa walczącemu odłamowi klasy roboczej i w ten sposób częściowo polepszyć jego położenie. Świat stal otworem dla przemysłu angielskiego i angielski kapitalista, wolny na rynkach wszechświatowych od postronnej konkurencji, mógł dowolnie podnosić ceny na swoje wytwory, w miarę powiększania płacy roboczej; czynił on to tem chętniej, ile że, polepszywszy byt swoich robotników, przekonał się o prawdziwości słów Roberta Owen'a, że dobrze odżywiony i zadowolony robotnik przynosi kapitaliście większy pożytek, niż źle opłacany. W takich warunkach musiał się rozwinąć konserwatyzm organizacji robotniczych, które jakgdyby się pogodziły z istniejącym porządkiem rzeczy. Państwo uznało organizacje zawodowe za normalne i nawet pożądane instytucje społeczne; zadanie zaś Trade-Union'ów wyrażało się w walce o większą płacę i krótszy dzień roboczy.

Lecz przeciwko temu burżuazyjnemu stanowisku Trade-Unionów rozwój dziejowy wytoczył swoje działa— a to w pierwszym rzędzie rosnąca w miarę rozwoju kapitalizmu konkurencja międzynarodowa. Obok tego praktyka walki zawodowej coraz to dobitniej, wyraźniej i dotkliwiej wskazuje robotnikom angielskim, że trwałe zorganizowanie się klasy roboczej, na gruncie kapitalistycznego systemu, jest utopją.

Kryzysy ekonomiczne, wynikające z wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu, wyrzucają na bruk olbrzymie zastępy robotników; silnie zorganizowane i zasobne w środki organizacje mogą się oprzeć nawet chronicznym przesileniom przemysłowym, lecz każde takie przesilenie musi przypomnieć robotnikom, że istnieją wewnątrz obecnego systemu społecznego siły, które spokojny byt organizacji uniemożliwiają. Siły te polegają na niewzruszonych prawach kapitalizmu.

Wzrastająca walka konkurencyjna zmusza przedsiębiorcę do gromadzenia możliwie większych kapitałów i popycha go wskutek tego do bezwzględnego oporu wymaganiom robotniczym.

W ten sposób sam kapitalizm wskazuje proletarjatowi, że organizacje jego muszą być skierowane prze-

ciwko całemu systemowi. Rzut oka na rozwój Trade-Unionów, równolegle z młodą jeszcze a już potężną organizacją polityczną robotników angielskich, świadczy o prawdzie słów powyższych.

W ostatnich latach zauważamy stały upadek ilościowy Trade-Unionów. Od roku 1895 do 1901 ilość członków wzrosła z 1.415.486 do 1.940.874, lecz od tego czasu daje się zauważyć znaczna stała zniżka, która w ostatnich latach wynosi 75.000 czyli 3,5—8%. Tego rodzaju stałe obniżanie ilościowe organizacji nie można złożyć na karb ogólno-gospodarczej sytuacji Anglji w ostatnich latach, związki zawodowe, jak to dowodzi przykład Niemiec, na pewnej wysokości swego rozwoju wyzwalają się zupełnie od wpływów konjunktury. Należy przyczyny tej szukać w nastroju mas względem taktyki tych organizacji.

Klasowy charakter związku zawodowego względnie przynajmniej występuje w organizacji kas strajkowych. W latach 1895 do 1900 suma, wydatkowana na strajki, a więc na walkę ekonomiczną, zniża się z 14,3% ogólnej sumy wydatków na 6,2%. Jednocześnie zapomogi na bezrobocie zdobywają rekord—za ostatnie dziesięciolecie wynoszą 31% ogólnej sumy wydatków. Zapomogi dla chorych, na nieszczęśliwe wypadki, na pogrzeby, na starość i tym podobne wsparcia wyrosły z 37% na 41%. Jeszcze silniej występuje charakter Trade-Union'ów w działalności kas asekuracyjnych. Pomimo ciągłego zmniejszania się ilości członków od r. 1901, suma wpływów do kas asekuracyjnych podniosła się z 20.305.250 rubli w r. 1895 do 20.974.700 rubli w roku 1904. Kapitał kasy wyrósł za przeciąg czasu 1895—1904 z 17.117.000 rubli do wysokości 46.162.000 rubli.

Słowem miasto walki klasowej z całym systemem znajdujemy filantropję; zamiast organizacji proletarjatu widzimy drobnomieszczańską instytucję asekuracyjną. Strajki, które, pociągając za sobą zmniejszenie dnia roboczego, zmniejszają podaż i w ten sposób wpływają bezpośrednio na zmniejszenie bezrobocia, są zaniechane natomiast rozszerza się działalność kas zapomóg na bezrobocia. Zmniejszanie ilości członków, zwiększanie dochodów stałych, rozszerzenie działalności asekuracyjnej, unikanie zatargów z kapitałem — oto jest obraz stosunków, panujących w najsilniejszych organizacjach zawodowych. W rezultacie, jak się z goryczą wyraża jeden z starych przedstawicieli Trade-Unionizmu Harryson — wielkie związki walczyć nie chcą, mniejsze nie mogą, a co zatem idzie zanik ducha walki i upadek solidarności klasowej.

Fala imperjalizmu zalała „liberalną“ Anglję i klasy rządzące ogłosiły wyprawę krzyżową na prawo robotnicze. Cios zadany organizacjom zawodowym przez t. z. Taff-Bale — prawo czyniące odpowiedzialnemi materjalnie wszystkie kasy za wyrządzone przedsiębiorcy przez nienormalny strajk szkody—który sparaliżował do reszty anemiczną akcję klasową związków, zdolny był wyprowadzić z drzemki nawet biurokratyczno-kapitalistycznie usposobionych trade-unionistów i był odgłosem pobudki dla proletarjatu angielskiego.

Odruchowo zwraca się proletarjat angielski w stronę, od której padł cios. Szuka pomocy tam, gdzie organizacja ekonomiczna bankrutuje.

W związku z powyższem należy rozpatrywać zwycięstwo nowej partji robotniczej w Anglji—Labour Party. Potrzeba organizacji politycznej, szczególniej w związkach finansowo słabszych i mniej zdolnych do walki ekonomicznej, dała się odczuć już dawno, lecz niezależna partja robotnicza zostaje zorganizowana dopiero w 1893 roku, pod nazwą „Labour Representation Committee.“ Nowa organizacja rozwija się nieznacznie do 1901 roku, lecz w końcu tegoż roku, na bezpośredni skutek uchwały Taff Bale szeregi jej szybko się zwiększają i w końcu 1901 roku liczy członków 376,000

w 1902 „ „ „ 470,000

w 1903 „ „ „ 860.000

W ostatnich wyborach do parlamentu nowa partja wystawiła 50 kandydatów, z których 29 zostało wybranych. Ogólna ilość głosów podanych w tych okręgach wynosiła 859.518, przyczem za kandydatów partji robotniczej podano 323,195 czyli 37 procent. (c. d. n.)

M. Aleksandrowicz.

Rozwój idei republikańskich we Francji.

1789 — 1792.

Dokończenie.

Przybyli oni do stolicy Francji, aby poprzeć przedstawicieli narodu w walce z królem, a tymczasem widzą że zgromadzenie prawodawcze nie ma określonego planu działań i gubi się w sprzecznościach. Zaczynają więc zasypywać je petycjami, w których żądają stanowczego postępowania z królem. 23 Lipca piszą: „Jeżeli dacie narodowi dowód niemocy, pozostanie mu tylko jeden środek: natężyć wszystkie swe siły i samemu zgnieść swych wrogów.“ To jest już groźba skierowana nietylko przeciw monarsze, ale i przeciw zgromadzeniu Prawodawczemu, to jest nietylko zapowiedź obalenia monarchji, ale i groźny prognostyk dla burżuazyjnego ustroju. Sfederowani oświadczają uroczyście: „Przysięgliśmy, że pozostaniemy w Paryżu, tu zwyciężymy albo umrzemy. Tu jest nasze stanowisko, tu jest miejsce naszego trjumfu, albo będzie miejscem naszej mogiły.“

Gazety popierają postawę sfederowanych, napadają na Ludwika XVI i nazywają go „ukoronowanym Tartufem“ „Ludwikiem fałszywym.“ Lecz i są takie, które starając się pogodzić króla z rewolucją i uczynić go jej wodzem na chwałę Francji i ludzkości. W wszechludzkiem święcie wolności chcą dla Ludwika XVI zachować

pierwsze miejsce na „bankiecie.“ „Jeżeli niewdzięczny odmówi—pisze jedna gazeta—ściągniemy na niego zemstę nieba, gdy ta niedopisze — zemstę ludu, nasz list jest błyskawica, która poprzedza grzmot. Do widzenia, powstaliśmy, nasze ładownice i fuzje są przygotowane, i wiemy, którędy prowadzi droga do Paryża.“

25 Lipca 1792 roku książę Brunświku, jako „generalissimus armij pruskiej i austrjackiej“ ogłasza manifest do narodu francuskiego. Manifest grozi, że gwardziści narodowi, zatrzymani z bronią w ręku, będą „ukarani, jako powstający przeciw swemu królowi,“ to samo stosuje się i do mieszkańców miast, miasteczek i wsi, „które ośmielą się działać przeciw wojskom Ich Królewskiej i Cesarskiej Mości.“ Nie było już żadnej wątpliwości, że zjednoczone armje bronią króla francuskiego, a lud przypisywał ułożenie manifestu Ludwikowi XVI. Na Lafayette'a wskazywano, jako na głównego doradcę. Wahający się dotychczas przeszli do szeregów zdecydowanych przeciwników króla. Wszystkie demokratyczne kluby polityczne domagają się pozbawienia Ludwika XVI tronu. Gazety uderzają w ton wojowniczy. Ale zgromadzenie prawodawcze, widzące w obudzonym ruchu ludowym niebezpieczeństwo dla panowania burżuazji, nie chce i nie może wyzbyć się monarchicznego zabarwienia. I chcąc ratować sytuację i wykazać energję działania 8 Sierpnia dekretuje, że nie należy oddawać pod sąd Lafayett'a. To było iskrą, rzuconą w proch niezadowolenia, i rozpętało namiętności. Sfederowani i lud paryski dochodzą do przekonania, że deputowani nie są w stanie pokierować ruchem, postanawiają więc działać nietylko przeciw królowi, ale i wbrew Zgromadzeniu Prawodawczemu. I oto, chcąc uratować siebie przez uratowanie monarchji, burżuazyjne przedstawicielstwo narodowe podcina korzenie własnego swego istnienia.

W noc 9-go Sierpnia Paryż wybiera sobie nowy zarząd komunalny, który następnego dnia organizuje atak na Tuilleries. Pałac królewski zostaje zdobyty, przyczem ze strony atakującej padło 5000 ludzi.

Na wieść o niebezpieczeństwie rodzina królewska udaje się pod opiekę Zgromadzenia Prawodawczego i zostaje przyjętą z należnemi jej honorami. „Możesz liczyć Najjaśniejszy Panie—przemówił prezydujący do króla—na stałość Zgromadzenia Narodowego; jego członkowie przysięgli umrzeć, broniąc praw ludu i władz konstytucyjnych.“

Lecz kiedy zwycięstwo ludu stało się faktem, Zgromadzeniu Prawodawczemu nie pozostało nic innego, jak uświęcić je swoją sankcją. Jeszcze przed kilku godzinami monarchiczne, Zgromadzenie uchwala następującą przysięgę: „W imieniu narodu przysięgam bronić całą mocą wolności i równości, albo też umrzeć na posterunku.“

Następnie Zgromadzenie Prawodawcze uchwala zawiesić władzę królewską, wobec tego, że nieszczęścia ojczyzny zostały spowodowane przez przedstawiciela władzy wykonawczej „jego zachowaniem się w wojnie podjętej w jego imieniu przeciw konstytucji i narodowej niezależności.“ Jak widać z słów powyższych Zgromadzenie Prawodawcze stanęło zupełnie na punkcie widzenia ludu. Lecz raz uznawszy siłę ludu i słuszność motywów, jakie nim powodowały, Zgromadzenie Prawodawcze nie mogło zatrzymać się w pół drogi i musiało pchane nieubłaganą logiką wypadków zgodzić się na wszelkie żądania ludu. 10 Sierpnia zostaje więc uchwalone powszechne prawo głosowania.

Aby zachować swój autorytet i przerzucić most zgody pomiędzy sobą i ludem, Zgromadzenie Prawodawcze mianuje jednym z członków Tymczasowej Rady wykonawczej Dantona, republikanina i demokratę. Tak to prawie że niespodziewanie, za jednym zamachem zostaje zniesiona monarchiczna forma rządów i wyłączne panowanie burżuazji. Lecz idea republiki tak słabo jest zakorzeniona jeszcze w umysłach, że nawet po zdobyciu Tuilleries i uwięzieniu króla, lud paryski nie wypowiada się wyraźnie za zmianą ustroju państwowego; nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że nastrojony jest antymonarchicznie. Np. puszkarze z sekcji Du Mail oświadczają: „Oznajmiamy, iż nienawidzimy wszystkich królów, jakiemikolwiek są i przysięgamy, że będziemy bronili praw ludu prawem armaty.“ A lud paryski przez swoją rewolucyjną Komunę wywiera stały antymonarchiczny nacisk na Zgromadzenie Prawodawcze.

Przedstawiciele narodu nie mają już własnej polityki, i są biernemi narzędziami w ręku zrewolucjonizowanego ludu. Nacisk z zewnątrz skłania ich do wykreślenia imienia króla z listy funkcjonarjuszy publicznych. Na zasadzie petycji z Luwru postanawiają zmienić pieczęć państwa: ma ona wyobrażać figurę Wolności, uzbrojoną w pikę z zatkniętym na nią kołpakiem wolności i nosić napis: „w imieniu narodu francuskiego.“

Po 10 Sierpnia sfederowani powrócili do domów i rozpowiadając o szczegółach tego znamiennego dnia oraz wygłaszając nauki i zasady poznane w Paryżu, ubierali niejasne pożądania mas w konkretne szaty politycznego ideału. Ogromna część Francji z zadowoleniem wita „zawieszenie“ władzy królewskiej, które w rzeczywistości było zniesieniem monarchji. Lecz prowincja, tak samo, jak i Paryż, niewyraźnie sobie zdaje sprawę z przyszłej formy rządu. Nie chce królów, lecz nie wspomina jeszcze o republice.

Dopiero kiedy w Tuilleries zostały znalezione i ogłoszone akty, dowodzące porozumienia się Ludwika XVI z austrjakami, oraz dokumenty świadczące, że duże sumy ze szkatuły królewskiej przeznaczone były na popieranie kontrrewolucyjnej prasy, szalony wybuch powszechnego oburzenia przyczynił się do gwałtownego zwrotu w umysłach na korzyść republiki.

Nienawiść do starego ustroju i pragnienie nowego zostało spotęgowane wiadomościami o klęskach francuzów w starciach z połączonemi armjami. Porażki potęgują świadomość niebezpieczeństwa i przywiązanie do praw zdobytych. Wszyscy zdolni do noszenia broni ofiarują swoje usługi zagrożonej ojczyźnie; tłumy ochotników wyruszają na granicę. Francja pragnie jedności, mogącej wytworzyć potęgę nazewnątrz i w sprężystym, nieprzekupnym, jednolitym rządzie ludowym widzi jedyny środek zbawienia. Nawet ci, co dawniej byli zdecydowanemi monarchistami, teraz otwarcie przyznają się do błędów i głośno wyznają swą nową wiarę. Jeden z takich, Rabusson-Lamothe tak pisze 16 Sierpnia: „Nakoniec przejrzałem; z oczu spadła mi zasłona i ku memu wielkiemu zdziwieniu poznałem, że królowie są niepoprawni i że wiarołomstwo jest ich najbardziej zasadni-

czą właściwością; przyłączyłem się więc do tych, z któremi dawniej nie zgadzałem się i z głębi serca przysiągłem umrzeć, jeżeli tego będzie potrzeba, aby podtrzymać równość i wolność.“

Obawa zdrady ze strony monarchistów, wywołała w pierwszych dniach Września w Paryżu drakońskie sądy nad uwięzionemi rojalistami: nie był to wybuch dzikiego barbarzyństwa, lecz odruch rozpaczy w tem ogólnem rozprzężeniu państwa, w anarchii bezkrólewia i bezrządzia. Wyobraźnia ludu widziała w każdym zwolenniku monarchji śmiertelnego wroga wolności, za każdą kratą więzienia doszukiwała się niebezpiecznego spisku przeciw umiłowanej ojczyźnie.

I ten nastrój wywołany zewnętrznem niebezpieczeństwem odbił się na wyborach do konwentu. Paryż daje swoim przedstawicielom mandat żądania republiki, prowincje myślą to samo, choć wyraźnie tego nie wypowiadają. Np. zgromadzenie wyborcze w Ariège wymaga od swych posłów, aby starali się o zaprowadzenie we Francji rządu godnego Francuzów, „godnego wolnego narodu, posiadającego żywe uczucie swej niezależności i który potrafi ją zachować albo raczej zginąć, niż powrócić do stanu niewoli.“

Lecz Paryż żąda republiki i jemu przypadło w udziale rozciąć ten węzeł niepewności, w jakim znajdowała się Francja. Rojalizm staje się niepopularnym i znika zupełnie z widowni publicznej. Nie znaczy to, żeby we Francji nie było wcale monarchistów, tylko że, mając przeciw sobie całą opinję, nie odważają się wygłaszać swoich poglądów.

Przez 44 dni od 10 Sierpnia do 22 Września naród francuski przyzwyczaja się do republikańskich rządów. Republika jest już faktem, ale pomimo to Konwent na pierwszym swym posiedzeniu 20 Września jeszcze nie używa tego słowa. Mówcy tylko ogólnikowo wypowiadają się o zadaniach Konwentu, Manuel określa go jako „zgromadzenie filozofów, którzy zajmują się stworzeniem szczęścia świata.“ Następnego dnia Konwent jednomyślnie uchwala zniesienie monarchji, ale jeszcze jakby waha się ostateczne rozwiązanie zadania doprowadzić do ostatecznych konsekwencji. Pomógł mu w tym lud paryski, który wiadomość o zniesieniu monarchji przyjął okrzykami „vive la république.“

Dopiero 22 Września Konwent uchwala, żeby data 20 Września była uważana za pierwszy dzień pierwszego roku *Republiki* .I oto republika, istniejąca już w rzeczywistości, otrzymuje sankcję prawną. Fakt ten odbył się bez wielkiego rozgłosu, nieznacznie; nie był też wcale niespodzianką.

Jeszcze w przeddzień klub Jakobinów w Paryżu odrzuca propozycję przyjęcia nazwy „Przyjaciół Republiki“, nie chcąc przesądzać czynności Konwentu. Rozumiano, że republika musi nastąpić jako żelazna konsekwencja wypadków, lecz obawiano się jednocześnie nieznanej przyszłości. Robespierre miał rację mówiąc, że republika przedostała się do Francji „ukradkiem.“

Przypadek chciał, że dzień pierwszego posiedzenia Konwentu był dniem porażki prusaków pod Valmy. Republika zjawia się jednocześnie ze zwycięztwem nad wrogiem, i cała Francja przyjmuje z zapałem nową formę rządu, jako symbol zwycięskiego patrjotyzmu. Znakomity historyk rewolucji Aulard tak określa nastrój francuzów: „Pozbyto się króla, ponieważ nie uratował Francji, zagrożonej przez wrogów. Przywiązano się do republiki, ponieważ zaledwie narodziła się, ujrzano ją trjumfującą nad nieprzyjacielem, ocalającą Francję.“

Niezmożony wir wypadków wywołał we Francji rewolucję, z żądzy obrony owoców rewolucji narodziła się republika. Ale żywiołowy prąd, który republikę do życia powołał, nie miał swego źródła w wewnętrznych stosunkach społecznych: obudziła go świadomość zewnętrznego niebezpieczeństwa. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, zginęła również i moc, podtrzymująca republikę przy życiu. Nie błędy Terroru — bo w historji niema błędów, i nie potęga Napoleona są przyczyną powrotu monarchji we Francji. „Pierwsza republika“ na kruchych była budowana podstawach i dlatego musiała się zawalić. Widocznie, że nie można „przeżyć sześciu wieków przez sześć lat.“

Leon Perl.

SEMPER IDEM.

(Fantazja na tle legend dawnego Egiptu).

Z brunatnej glinki lepił postać tancerki. A ona, trzymając w rękach luteńkę, której struny leniwie pieściły jej palce, przed nim tańczyła. Lekka, pajęcza tunika owiewała ją niebieskawą mgłą, która falowała łagodnie i rytmicznie przy każdym ruchu jej ciała. W tańcu przeginała się wdzięcznie, jak gibka łodyga lotosu, gdy zefir ranny o nią swem skrzydłem potrąca. Po taflach posadzki płynęła chwilami, jak fala Nilu, co pierwsza na wiosnę z brzegów wystąpi i sunie powoli, ostrożnie po wyschłej ziemi, by nagle wstrzymać się przed wzgórkiem, który jej drogę przegradza. W tańcu była, jako tęskny rytm piosenki, którą na fujarce wygrywa pasterz, gdy o zachodzie stada ku zagrodom pędzi. A on — artysta — posyłał ku niej na zwiady swe zachwycone oczy, by kradły odrobinę jej czaru i piękna i oddawały statuetce, po której biegły nerwowo jego chyże, niecierpliwe palce.

Wtem uniosła się cicho zasłona u wejścia i na progu stanął kapłan. Na chwilę z miłością wzrok jego spoczął na głowie artysty, a twarz jego oblała ciepła jasność, którą z głębi łona wypromieniła rozrzewniona dusza. Ale, gdy oczy ujrzały statuetkę i tancerkę, która wobec kapłana zastygła w nagłym, pełnym pokory ruchu, jasność z twarzy znikła, a na jej miejscu spłynęła chmura zasępienia i smutku.

Ujrzawszy nieruchomą postać tancerki i posłyszawszy szelest kroków, artysta odwrócił się.

— Bądź pozdrowiony, ojcze, — rzekł cicho, pochylając się z uszanowaniem.

— Błogosławię cię, synu, — odparł kapłan i położył dłoń swoją na głowie artysty. Pracujesz?

— Pracuję, ojcze.

Wzrok kapłana uderzył surowo statuetkę, przeniósł się na postać tancerki, i głęboka brózda przecięła czoło starca, a gęste, siwe brwi jego ściągnęły się chmurnie.

— Niech to dziecię odejdzie, — rzekł kapłan, wskazując dziewczynę.

A ona schyliła się nizko, jak gdyby do stóp starca paść chciała, i wyszła z pracowni, zapuszczając za sobą zasłonę.

— Synu mój, synu, — zaczął kapłan, a w głosie jego drżał wyrzut głęboki, miękko spowity w puchy czułości ojcowskiej.—Nigdy nie opuścisz swej drogi błędnej? Nigdy?

Artysta milczał.

— Nadal trwać pragniesz w twej pysze grzesznej?

A gdy artysta z ust swoich pieczęci milczenia nie zdjął, ciągnął dalej.

— I za nic masz nakazy kapłańskie? i za nic prawa boskie? i za nic tradycje święte przodków? i za nic pamiątki i przykazania sztuki ojczystej?

Przez bronzowe oblicze młodzieńca przebiegły błyski gniewnego buntu, a z oczu płomienie buchnęły, gdy z ust wyrzucać począł słowa prędkie i żarliwe, przemocą wydarte z tajnych głębin duszy.

— Tradycje! tradycje!... Ach ojcze, gdy wymawiasz to słowo, czyż nie czujesz, jak cały zastęp złych i ciemnych duchów, których dzioby i szpony szarpią i krwawią jasną pierś życia?... W chmurę tradycji spowić pragniecie złotą jasność dnia, by nie budziła z uśpienia granitowych posągów ducha... Prawa boskie! a gdzież ten bóg, co je pisał? i czyż twórca wszystkiego co żywie, mógł pisać prawa, którym śmierć na imię?... Nakazy kapłańskie! a któż wam dał moc tworzenia nakazów, któremi pętać chcecie duchy wolne?...

A gdy tak mówił, twarz starca bladła, jak niebo w dzień upalny, nim wiatr zachodni na nie chmury burzowe wpędzi, a w oczach zapalały się powoli błyski złowrogie, i kapłan dłonie ku artyście wyciągnął w ruchu szybkim i trwożnym, jak gdyby złe i straszne słowa napowrót do źródła ich wtłoczyć pragnął. Ostrożnie zbliżył się do zasłony i, uchyliwszy jej, spojrzał, zali nikt ciekawy u progu nie nasłuchuje, a później rzekł drżącym i zdławionym głosem:

— Bluźnisz, synu mój; bluźnisz straszliwie przeciw bóstwu wierze. Słowa twe z ciemnic otchłannych wywołują duchy piekielne... Synu mój, synu... I na tom cię ukochał i w odległych świątyń komnatach w tajniki wiedzy naszej wprowadzał, byś później i nam, kapłanom, i nauce naszej złorzeczył? Więc łudziłem się? więc ziarno, które z taką troskliwością siałem, padło na glebę wyklętą? i z ziaren zboża wyrosły chwasty trujące?... O, synu mój...

Słowa kapłana skonały cicho w ledwie dosłyszalnym szepcie; z oczu znikł blask złowrogi i powlekła je szklista mgła...

Artysta spuścił głowę. Duch milczenia rozwinął swe puszyste skrzydła i wsparł je przez chwilę o głowy artysty i kapłana.

I znów zaczął mówić kapłan, a głos jego brzmiał głucho i surowo.

— Święte i nietykalne są tradycje przodków. Biada temu, kto się targnie na nie dłonią ojcobójczą, bo dosięgnie go gniew bóstw obrażonych. Na nich wspiera się życie i szczęście krainy faraonów. Winniśmy zachować im cześć i wiarę... Módl się, synu, do Ammona i złóż mu ofiarę, by złe myśli z duszy twej wygnał...

— Nie są złe myśli moje,—odparł artysta. (A mówił teraz cicho i w zamyśleniu spokojnem, jak gdyby przed duszą własną spowiedź duszy własnej czynił.) Kocham życie i myśl wolną kocham. Nie spętasz tego, ojcze, kajdanami ze wszystkich tych formułek martwych, które na papyrusach waszych przechowujecie.

— Wiedza nasza życia nie pęta, — rzekł poważnie kapłan. Młody jesteś, synu, więc patrzysz, ale widzieć nie umiesz. Życie od stworzenia swego przez inne, nie nasze wyroki spętane zostało. Długi szereg lat legł ciężkiem brzemieniem na barki moje. Co roku, o tej samej porze nad głową moją przelatywały hufce ptaków, ciągnących ku dalekiej i tajemniczej północy. Co roku, o tej samej porze błogosławiony Nil niósł na pola nasze swe iłem ciężarne fale. Co roku, tak samo na ziemi egipskiej wzrastały zboża złote. I tak samo w bólach kurczyły się łona niewiast, wydających na świat potomstwo. I tak samo noc codzień w swe objęcia chłodne bierze piaski pustyni, rozpalone od uścisku promieni słonecznych.

— Nie, nie! to nieprawda, ojcze,—zaprzeczył żywo młodzieniec. Te ptaki, które w jutrznie słoneczne młodości twojej nad głową twą przelatywały, poginęły dawno. Ani jedna kropla rzeki srebrzystej nie spłynęła po dwakroć na przeżarte pragnieniem gorącem wybrzeża. Ani jeden kłos zboża nie wyrósł po dwakroć na niwach naszych. Ani jeden promień słoneczny nie powrócił z piasków pustyni do źródła życia powszechnego, by stamtąd znowu o świtaniu nowem ku ziemi lecieć. I coraz to inne matki coraz innych synów rodzą...

Cień ledwie dostrzegalnej ironii przemknął przez usta starca. Ale nim je otworzył, cień znikł, i kapłan począł mówić głosem nauczyciela, który prawdy nowe uczniowi wykłada. Mówił starzec o tem, jak przez chciwe usta promieni słonecznych wchłonięta kropla na skrzydłach chmur równie rozległe niebios przelatuje, jak spada tam, kędy Nil życiodajny wytryska, i jak wraca znowu stęskniona ku ziemi faraonów, by ją pieszczotą swoją zapłodnić. Mówił o tem, jak zjawisko każde stale krąg sobie wyznaczony przebiega, by do dawnej formy wrócić. Ale niecierpliwie przerwał mu artysta.

— Wiem to wszystko, ojcze. Wszak uważnie nauk waszych w mroku komnat świątynnych słuchałem. Może i prawdą jest, że zawsze ta sama jest treść życia, lecz coraz to nowa, i coraz to nową pięknością piękna jest jego forma...

Zbliżył się do statuetki i zdjął z niej chustę wilgotną, którą była okryta.

— Patrz, ojcze. Oto, dni długie oddawna już w trudzie spędzam, by jedną z tych form nieuchwytnych życia w kształt trwały przelać Codzień godziny

całe tańczy przedemną dziewczyna młoda przy dźwiękach tej samej pieśni ten sam taniec. I codzień z nowym i pełnym rozpaczy i nadziei wysiłkiem pragnę czar jej ruchu w tym oto posążku wyrazić. I nigdy, ojcze, słyszysz, nigdy w jej tańcu po dwakroć ta sama forma się nie powtórzyła. A gdy nagle słowem jak piorun szybkiem, pragnę ją w pozie jakiejkolwiek na czas jednego drgnienia powiek unieruchomić, już ciało jej kształt inny przybrało i — czar prysnął... Czar dawny prysnął i nowy się rodzi...

Przez chwilę pełnem miłości spojrzeniem pieścił dzieło swoje. Wzrok jego spływał powoli po smukłej linii bioder i krągłych piersiach posążku. Ale wkrótce światło miłości zgasło w oku jego; cień smutku zasnuł źrenice. Otulił w chusty posążek i odwrócił się do kapłana.

— Nakaz kapłański przekraczasz, synu mój,—rzekł surowo starzec.

— Ach, wiem, wiem. Prawo wydaliście, którem, jak kajdanami, spętać chcecie dłonie i myśl twórczą sztuki. Jak niewolnikom rozkazaliście nam, duchom wolnym, wiecznie naśladować ten wzór martwy, który w głębi świątyń chronicie...

— Synu mój! — zawołał kapłan, a w głosie jego brzmiało przerażenie najwyższe. Świętym jest posąg ten, który wam za wzór stawiamy. Stworzył go przed wiekami mistrz, którego dłonią sam Ammon kierował. W kształt granitowy świętobliwy ów mąż ducha egipskiego zaklął na wieki. Na zawsze na ustach posągu zastygł tajemniczy, a boski uśmiech. Nie drgnie żaden kształt jego, bo ma on w sobie niezmienną moc boskości. Naśladuj dzieło to, synu, a dłoń twą przyłożysz do tworzenia wieczności, bo tylko rzeczy niezmienne są wieczyście trwałe.

— A czyż warto, by wiecznemi były rzeczy, które są niezmienne?... Śmierć tylko jest wieczyście ta sama. Martwy jest uśmiech na ustach świętego posągu waszego. Wężowo ruchliwa, nieprzerwanie zmienna jest lśniąca fala życia. Komuż wierni mamy być my, bolešni ofiarnicy sztuki? Śmierci czy życiu?

— Życie doczesne cieniem jest tylko, snem, synu mój. Tajemnicza kraina zagrobowa, do której sobowtór człowieczy — niezniszczalny *ka* wstępuje, jest królestwem prawdy. Nie o marne, znikome „dziś“ dbać należy, lecz o nieśmiertelne „jutro“...

— Ach, ojcze! Od ilu wieków karmicie zgłodniały i znużony tłum złudnym mirażem tej waszej prawdy, której królestwo zaczyna się w mrocznym przedsionku piramid, w labiryntach cmentarnych? Nie, nie, ojcze. Kocham słońce, które ku ziemi codzień wyciąga radośnie swe ramiona promienne. Kocham Nil, żywiący ziemię i chłonący niebo. Kocham te kształty i obrazy znikome, których trwanie — moment, a których piękno jest wieczne. O, móc w bryłę granitu, lub na powierzchni drobnej, chwila po chwili w obraz widomy drgnienie duszy mędrca, ruch dziewczyny tańczącej, blask księżycowy w fali rzecznej, powiewność kielichu kwiatowego zakląć! Duszę własną rozszerzyć, by świat cały objąć mogła, a później potęgą woli twórczej tak ją ścisnąć, by z łona swego dzieło, wieczność trwające, wydała...

— Wieczności dla dzieła twego łakniesz? — rzekł kapłan, a z ust jego słowa teraz biegły szybkie i ostre, jak gdyby w głąb samą duszy młodzieńca wežreć się chciały. Wieczności dla dzieła pragniesz? Wiecznem jest to, które w głębi komnat świątynnych na wzór dla was chowamy. Naśladuj je, naśladujcie je wszyscy Twórzcie tysiące i tysiące tysięcy tych posągów granitowych, nieporuszenie wyniosłych z zagadkowym uśmiechem na ustach. A po latach lat, gdy tysiące i tysiące tysięcy dzieł waszych zginie, gdy je piaski pustyni pochłoną lub pioruny w proch zetrą, zawsze zostanie choć jedno jeszcze, które wiekom przyszłym świadczyć będzie nieśmiertelnie o potędze ducha egipskiego, o mocy faraonów i mądrości kapłanów.

— Wam sława Egiptu drogą jest, ojcze; tak, wiem o tem. Lecz mnie nad Egipt droższą jest ludzkość. Wy Egipt kochacie, a my — człowieka. Do skarbca geniusza ludzkiego klejnot duszy własnej dorzucić, oto marzenie kapłanów ducha. Ale wy tego nie pojmujecie, wy, kapłani niewiadomego boga. Nie przerywaj mi, ojcze. Chwila rzadka nadeszła, kiedy z duszy na usta biegną zdawna w niewoli milczenia jęczące słowa prawdy. I nie o Egipt wam nawet chodzi. O siebie dbacie tylko, wy — kapłani. W pysze bezmiernej władać pragniecie ziemią egipską. Ale wam „dziś“ nie wystarcza: na „jutro“ nawet położyć chcecie zazdrośnie waszą ciężką i władczą dłoń. Znam was; nie darmo lata długie nad papyrusami waszemi ślęczałem.

— Milcz! — krzyknął kapłan. (Straszny był; z pod brwi siwych, ściągniętych niby lwy, gdy się do skoku rzucą, oczy jego cisnęły groty błyskawic gniewnych). Milcz niegodny! Nie ściągaj na głowę twoją słowy bluźnierczemi klątwy bogów. Przekleństwo dzielu rąk twoich, które z błędu powstało i błędy rodzić pragnie.

Zaciśniętą pięść podniósł nad odzianym w chusty posążkiem, lecz młodzieniec tę rękę groźną pochwycił i wstrzymał, nim dzieła jego dotknęła.

Przez chwilę zmagali się płomieniami swych roziskrzonych oczu. Kapłan dłoń opuścił. Na twarz jego spadał powoli mroczny chłód nocy. Gdy znów mówić począł, głos jego był spokojny, surowy, a słowo każde brzmiało, jak równe uderzenie bronzowego młota, który bije miarowo w bryłę granitu.

— Daję ci ostatnią radę, młodzieńcze. Opamiętaj się, nim błędy twoje staną się tak głośne, że nikt przed nimi uszu kapłańskich osłonić nie potrafi. Sprawiedliwa, lecz bezlitosna jest dłoń sług Ammona. Przed sądem ich nawet moja pobłażliwość ojcowska nie uchroni głowy twojej. Żegnam cię, młodzieńcze. (dok nast.)

M. Muttermilch.

MEMENTO.

Wielkie kataklizmy przyrody, niszczące w mgnieniu oka pracę wielu pokoleń mrowia ludzkiego, mogą być uważane za pewien rodzaj kosmicznej krytyki naszej kultury. Pod tym względem zachodzi zgoda pomiędzy przedstawicielami najbardziej różniących się pomiędzy sobą przekonań. Nie wątpię, że dziś już — liczni kaznodzieje uczą z ambony, iż wybuch Wezuwjusza jest karą za upośledzenie polityczne papieża. Polemizować z tego rodzaju zapatrywaniami jest oczywiście rzeczą zbyteczną. Nauka, jaką wyciągnąć można z tego rodzaju upomnień, jest o wiele głębsza. Pozostawmy wszelkiego rodzaju „bezpartyjnym postępowcom“ eksploatację konceptów na temat figury Św. Anny, która miała wstrzymać potok płynącej lawy i—nie wstrzymała go. Ostatecznie poco odmawiać niewinnej satysfakcji ludziom, którzy czerpią całe zdroje samouwielbienia stąd, iż przezwyciężyli już światopogląd księcia Radziwiłła. Popiół z Neapolu, czy pod Neapolem z jednakową obojętnością przysypuje obserwatorjum naukowe i kaplicę. Sama przez się myśl czysta jest zarówno bezsilna w summie Ś-go Tomasza, jak i w kursie filozofji pozytywnej Comte'a. Jest rzeczą jasną, że jedyną siłą, która mogłaby zaważyć, byłaby siła fizyczna, która byłaby w stanie zasypać krater lub sparaliżować siłę wybuchową wulkanu. W obec przyrody ostatecznym argumentem są mięśnie ludzkości.

Myśl, kultura, sztuka, nauka nabierają znaczenia przez ich pośrednictwo dopiero. Tak daleko tylko sięga celowa wola nasza, jak daleko władzę nad światem wywalczyła sobie praca mięśni ludzkich. Przeciwnicy materjalizmu ekonomicznego, powinniby zwrócić się dziś do Wezuwjusza z wezwaniem, aby uszanował czystą ideę—myśl samą w sobie. Przyroda uznaje nasze idee, urządzenia i t. d., o tyle tylko, o ile umiemy uczynić z nich fakt przyrodniczy. Same przez się są one czczym dymem.

Jeżeli myśl ludzka zdobywa sobie rzeczywiste znaczenie w świecie, jeżeli przestaje być urojeniem, mniemaniem ludzkości, a staje się siłą, czynnikiem rozwoju, to dla tego tylko, że ma ona znaczenie dla organizacji mięśniowej, energji ludzkości, i o tyle tylko, o ile ma to znaczenie.

W gruncie rzeczy Marksizm nie jest niczem innem, jak zrozumieniem, że wszystkie idejowe potęgi stają się potęgami dopiero przez siłę mięśni, jaką poruszają, albo raczej, jaką koordynują, organizują. Duch ludzki narzuca prawa światu po przez dłoń. Myśl nie,pozostająca w żadnym stosunku z ręką, jest czczem mamidłem. Od czasu Kanta już myśl ludzka doszła do zrozumienia, że nie świat gotowy, dany — określa ją, lecz, że ona określa świat. Na czem jednak polega to określenie? Dlaczego nie pojęcia stosują się do przedmiotów, lecz przedmioty do pojęć? Bo pojęcia są w mojej władzy, bo mogę myśleć, co chcę. Niewątpliwie. Jest to podstawa filozoficzna wszechświatowej manji wielkości. Dziś w ten sposób wyobrażają sobie swobodę zblazowani feljetoniści, wszelkiego rodzaju neo romantycy, no i myśliciele - esteci galicyjscy. Rozwój filozofji niemieckiej od Kanta do Marksa — powiedzmy nawiasem jeden z najciekawszych rozdziałów w historji myśli ludzkiej — jest właściwie postępowem uświadamianiem sobie tej władzy określenia świata przez człowieka. Świat jest wyrazem mojej swobody, o tyle tylko, o ile jest dziełem rąk moich i o tyle tylko swobodny w nim jestem, o ile ręce moje zapewniają mi nad światem władzę. Na tem polega znaczenie myśli, że siły wytwórcze ludzkości, są jedynym wynikiem postępu. Przyroda nie zna żadnych naszych norm etycznych. Zna jedynie siłę naszą. To jest podstawa naszego bytu. Zatem normy etyczne o tyle tylko mają znaczenie, o ile siła ta wnosi techniki i — organizację sił wytwórczych jest im zapewnić wstanie.

Postępy ludzkości w obec przyrody zasadzają się na zwiększeniu lub zmniejszeniu władzy naszej nad nią. Gdy tylko *suma energii*, jaką rozporządza ludzkość, wobec świata się zmniejsza, zmniejsza się pozytywna wartość ludzkości samej i wszystkich jej dzieł. Zakwestjonowaną zostaje sztuka, religia, moralność i wszystkie inne, sfery czystego ducha. Jedyną podstawą ludzkiej swobody jest władza ludzkiej ręki nad materją, gdy ta się zmniejsza, wzrasta moc kosmicznej konieczności nad nami. W ten sposób określonem zostaje znaczenie postępu.

Postępowem staje się wszystko, co wzmaga siłę wytwórczą ludzkości. Wstecznem, wszystko, co ją więzi—krępuje. Bernstein biedzi się nad listami Engelsa—chcąc z nich wyprowadzić jakiś argument na korzyść niezależnego znaczenia „idei.“ Póki jednak nie zostanie wyjaśnionem, w jaki sposób *idea* może zwiększyć władzę ludzkości nad światem, nie zmieniając nic w stosunkach wytwórczości — sprawa materjalizmu ekonomicznego jest zupełnie zabezpieczona. Dopóki bowiem nie mamy żadnego bezpośredniego oddziaływania idejowości na świat, całe znaczenie idei polegać będzie na znaczeniu ich dla sił wytwórczych ludzkości, pomnożeniu tych sił lub uszczupleniu, bardziej celowemu skoordynowaniu ich lub marnotrawieniu.

Rozumiem, iż dla ludzi, których cała praca fizyczna polega na pisaniu, przykrą i trudną do zrozumienia jest myśl, że piękno nawet dramatów Szekspira lub dzieł Platona, jakie mogły tkwić w duszy jakiego przysypanego przez popiół artysty, nie mają żadnego znaczenia w obec brutalnej i ślepej materji, i że w skutek tego pożądanem byłoby wykryć jakiś tajemniczy związek pomiędzy wartością moralną, estetyczną— a żywiołem. Póki jednak jedynym takim związkiem jest posłuszeństwo, jakie jest w stanie nakazać dłoń ludzka siłom przyrody, póty wszelkie przezwyciężenia marksizmu nadawać się będą do tej samej kolekcji, w jakiej mieszczą się dzieła alchemików i astrologów.

Jedyną konsekwentną próbą przezwyciężenia markizmu jest magja.

Jedyna nadzieja Bernsteina et C-ie polegać może na tem, że praktyki okultystyczne okażą się wydajniejszemi, niż technika. Spór pomiędzy marksizmem a „idealistycznemi“ prądami myśli jest współczesną nam postacią walki nowoczesnej myśli ze średniowieczem. Cały ustrój średniowieczny opierał się na przekonaniu, że moralność, formy prawne i religijne są podstawą stosunku naszego do świata. Klęski przyrodnicze zostają spo-

wodowane przez bunt poddanych przeciwko prawej władzy.

Ustrój cechowej produkcji, z jej ścisłem przestrzeganiem prawideł — wzmacniał wiarę w moc formuły zaklęcia, na jakiej opierała się magja; i tu i tam mamy do czynienia z jedną i tą samą postawą umysłu. Przezwyciężenie średnich wieków, rozwój nowoczesnej myśli polegają na samouświadomieniu sił wytwórczych ludzkości. Prawo staje się prawem, nie dla tego, że za przekroczenie go niebo każe piorunem, lecz dla tego, że ochrania pracę.

Jest więc prawem, o tyle tylko, o ile rzeczywiście pracę ochrania i wzrostowi jej sprzyja. Gdy przeciwnie krępuje ją, zmniejsza jej wydajność —staje się uciemiężeniem. To samo moralność. Ludzkość kulturalna zrozumiała już do pewnego stopnia, że wartość myśli polega nie na zgodzie z uświęconemi prawidłami, lecz z doświadczonemi, że wszystko, co krępuje myśl, jest uciskiem. Zrozumieć teraz trzeba, że sama myśl ma znaczenie w świecie jedynie dzięki pracy. Dopiero na podstawie wyzwolenia pracy — hasło swobody myśli nabiera istotnej wagi. Swoboda myśli, przy skrępowaniu pracy – staje się swobodą paradoksu. Stan duszy ludzi jak Siemmel, Rémy de Gourmont, Wilde, jest lustracją tej zasady wyzwolenia myśli od przesądów, od zacieśniających formuł — staje się postępem przez wyzwolenie od krępujących ją powijaków i bardziej celowe skoordynowanie pracy. Wynika stąd, że wyzwolenie i wzmożenie pracy jest istotnym celem, że wprowadzenie syndykatów robotniczych tam, gdzie nie istnieją one, ma o wiele więcej doniosłości dla kultury, niż przepojenie dziesiątków tysięcy sklepikarzy zasadami wolterjanizmu. Ostatecznie jest rzeczą drugorzędną, czy dane indiwiduum niedoważa cukru lub chleba dla tego, że „człowiek jest zwierzę“ i „partenogieneza u kręgowców się nie zdarza,“ czy też dla tego, że ma szczerą intencję z osiągniętych zysków kupić świecę przed obraz Matki Boskiej. Czy zasady sklepikarskiej etyki posiadają sankcję, zaczerpniętą z zagadek wszechświata Häckla, czy też z katechizmu księdza Puciatyckiego, to może być sprawą, gorąco obchodzącą zainteresowanych — czyli kler katolicki i wolnomyślnych wydawców *Kroniki Rodzinnej i t. d.* Dla nas jednak sprawa przedstawia się inaczej. Zapewnijcie zwycięstwo zasadzie swobody i pracy, zapewnijcie zasadzie pracy hegemonję społeczną, a tem samem zapewni się zwycięstwo tym kierunkom myśli i kultury, które istotnie służą interesom ludzkości, czyli pracy. *Stanisław Brzozowski.*

Zakusy reakcyjne wśród prefektów szkolnych.

Fala ruchu jak burza, jak żywioł zwycięzki, idzie pod wszelkiemi postaciami: zarówno polityka jak kwestje społeczne, zarówno umysłowe jak i moralne — wszystko wstrząśnięte w posadach swoich. Wielką tamą— tamą, wypływającą z istoty rzeczy jest w czasie ruchu wolnościowego kościół; punkt ciężkości leży tu w ekonomicznym bycie stanu kapłańskiego, który musi pielęgnować teraźniejszość, choćby ona była najwsteczniejszą, bo wszelkie nowatorstwo podrywałoby ten miły stan pasożytnictwa. Wychodząc z tego założenia kościół zazwyczaj jest niewzruszony, ignoruje wszelkie ruchy, i motywując „non possumus“ powołuje się na wyższe zlecenia, objawienia i t. p....

Wszystkie te nienaruszalne święte przepisy i dogmaty gdzieś nikną, świętość ich się zmniejsza, gdy umysł jezuicki dojrzy, wyczuje, że fala ruchu jest zbyt silna, że bezpieczniej jest usunąć się troszkę, choć cokolwiek...

Później nazywa się to „liberalizmem“ gwoli szczęścia bliźnich. Taki fakt „liberalizmu“ znalazł wyraz w zjeździe prefektów w Częstochowie (— 4 b. m.), gdzie postanowiono „zreformować“ nauczanie religji w szkołach.

Oczy duchowieństwa dojrzały, uszu ich doszedł dźwięk złowrogi, a spryt odgadł, że ta fala to fala silna, fala przebudzonego żywiołu, który gnuśniał politycznie umysłowo i moralnie. Obecnie strach przejął czcigodnych ojców prefektów zdołu idzie ruch — ruch ciemny — pierworodne dziecko kościoła — mankietnicy; z góry idzie lawa odrodzenia umysłowo-moralnego, które się dawno zrealizowało pod różnemi postaciami.

W kwestji, o której mowa, towarzystwo pedagogiczne (Nowe tory) dawno zajęło się szkołą i nauczaniem religji — i próżnemi będą zabiegi prefektów. „Reforma“ ich jest niczem innem, jak jezuicką taktyką, pseudo przystosowaniem się do ducha czasu.

Bez kwestji, swą reformą zjazd prefektów przyniesie niedźwiedzią przysługę społeczeństwu, o ile zdoła ją wprowadzić w czyn.

Po wysłaniu depeszy do Ojca św.,—donoszą dzienniki, — ...i dyskusji — zjazd postanowił:

1) mając na względzie istotne potrzeby młodzieży... zastosowanie wiedzy religijnej do rozwoju umysłowego uczniów, podniesienie poziomu wykształcenia religijnego— należy:

a) Stary testament zredukować do zapoznania uczniów z ideą mesjaniczną.

b) Kurs niższy katechizmu wykładać na tle Historji św., ze szczególnem uwzględnieniem Nowego Testamentu.

c) Wprowadzić czytanie pisma św. Now. Test. i wyjątków z literatury kościelnej.

d) Przy wykładzie historji kościoła ze szczególnem uwzględnieniem traktować dzieje kościoła w Polsce, (jedyny dodatni projekt, gdyby mógł być traktowany zgodnie z prawdą.)

e) Przy wykładzie dogmatyki i etyki uwzględniać wiadomości z apologetyki.

f) Wprowadzić apologetykę jako przedmiot oddzielny.

Nad punktem *e* i *f* trzeba się nieco zatrzymać.

Punkty *a*, *b*, *c*, *d* — nie przynoszą żadnej istotnej zmiany: stara treść w odmiennej nieco formie; lecz punkty *e* i *f* — to nowy zupełnie wynalazek. Apologetyka oznacza „naukę” bronienia prawd chrześcijańskich i otóż ta nowa „nauka“ ma być przedmiotem specjalnym. Zaiste reforma, lecz nie w kierunku przystosowania się do ducha czasu, a ku utrwaleniu zabobonów, ku nowemu ogłupianiu młodocianych umysłów, tylko w nieco większym stylu i więcej szkodliwie. Jeżeli dogmat z istoty swej zrozumiałym być nie może, to czem będzie „nauka“, któraby właśnie te dogmaty (nie naruszając ich charakteru dogmatycznego) objaśniała i konieczność przyjmowania ich wzięła sobie za cel. „Nauka“ taka musi być znowu z istoty swojej stekiem głupstw— więcej jeszcze szkodliwych, aniżeli same dogmaty, bo „nauce“ tej nadają zwykle pozory logicznych rozumowań, i to z fałszywych przesłanek.

W punkcie drugim postanowień prefektów widzimy kapitalne założenie: ponieważ religja jest *środkiem umysłowego rozwoju ucznia*, przeto prefekt winien nauczać:

a) zasad wiary i moralności

b) praktyk i zwyczajów religijnych

c) zakładać stowarzyszenia uczniowskie w celach religijno moralnych i t. d.

Z jakiegokolwiek punktu widzenia wziąć to założenie, czy to z punktu widzenia „teologicznego“, na jakim stoją prefekci, czy z punktu zdrowego rozsądku, elementarnych zasad nauki — w żadnym razie niema ono sensu.

Religja jako, oparta na objawieniu (punkt widz. teologiczny), nie może być przecież środkiem rozwoju umysłowego, jakiemi są choćby najelementarniejsze nauki o charakterze doświadczalnym, np. tabliczka mnożenia, która była zapewne środkiem rozwoju umysłowego i u szanownych prefektów, i t. p. Z punktu widzenia nauki religja może być tylko przedmiotem badania, ponieważ sama stanowi tylko archaiczną wiedzę.

Gdyby szanowni prefekci choć troszkę się zastanowili, nie narażaliby się na śmieszność, jaką muszą wywołać tak śmiałe postanowienia przy tak płytkim pojmowaniu odnośnych zagadnień z dziedziny pedagogiki.

A teraz przypatrzmy się wnioskom. Punkt *a* nie wnosi nic nowego. Punkty *b* i *c* zwracają na siebie uwagę, jako nieco nowy czynnik, prowadzący wprost do bigoterji, a co za tem idzie do częściowego zboczenia umysłowego, zjawiska dość pospolitego wśród kobiet.

Prefekt winien nauczać praktyk i zwyczajów religijnych i zakładać stowarzyszenia uczniowskie w celach religijno-moralnych!

Czyżby zamało nakazów i zakazów, skierowanych ku postom, modłom, umartwieniom i t. p. mieścił w sobie dzisiejszy katechizm? Czy już nie wystarcza 5 przykazań kościelnych?

Czyż koniecznem jest zakładanie stowarzyszeń w celu trenowania młodzieży w praktykach religijnych?

Trzeba mieć dużo śmiałości jezuickiej, by w chwili ruchu wolnościowego, w chwili gdy wszystko wyrywa się z pod ucisku — stwarzać nowy ucisk, ucisk zorganizowany.

Sądzę, że sidła te pozostaną bez użytku: społeczeństwo chyba już dojrzało o tyle, że pozna się na zakusach reakcyjnych i samo zajmie się racjonalnem wychowaniem podrastającego pokolenia.

W szkole zaś dzisiejszej, gdzie społeczeństwo musi brać żywy udział, podobne reformy chyba pozostaną w sferze marzeń szanownych prefektów, którzy nie mogą, czy nie chcą pogodzić się z tą myślą, że to już wiek XX-ty i czas pasożytnictwa dawno przeminął.

Gdy u nas prefekci urządzają zjazdy, mające na celu utrwalenie w całej pełni konserwatywnych założeń, — w Anglji w tym samym czasie rząd układa wnioski o wprost przeciwnym kierunku. Minister oświaty Birrel wniósł projekt reformy szkolnej, która ma na celu zniesienie wyznaniowości w szkole ludowej; wykład biblji pozostaje obowiązkowym, lecz bez zabarwienia wyznaniowego.

W kościeie anglikańskim powstał alarm, gotuje on się do walki, w czem mu godnie dopomagać będzie kościół katolicki, który rozporządza pokaźną ilością głosów irlandzkich.

Powszechny konserwatyzm wszelkich kościołów jasno się tu ujawnia, lecz gdy w Anglji prefekci szkolni mają zaledwie siłę do walki obronnej, nasze duchowieństwo ma o tyle śmiałości, że buduje nowe instytucje mające na celu nietylko utrwalenie istniejącego stanu, lecz walkę zaczepną z liberalnemi dążnościami społeczeństwa.

Feliks Honowski.



O ochronnem szczepieniu gruźlicy

przez

Dr. Wandę Szczawińską.

Dla ostatecznego rozstrzygnięcia kwestji przeciwzakażającego działania szczepionki Behringa postanowiono wszystkie zwierzęta, poddane doświadczeniom, zabić, za wyjątkiem dwóch osobników szczepionych

pozostałych w doskonałem zdrowiu, tych, które na tuberkulinę nie reagowały, a które przez sześć miesięcy żyły z wołami tuberkulicznemi. Autopsja wszystkich innych wykazała co następuje:

Dwa woły *nieszczepione*, z pierwszej kategorji i te, które poddano zarażeniu przez pożycie z wołami tuberkulicznemi, miały wspaniałą gruźlicę gruczołów chłonnych, gruźlicę płuc i gruczołów do nich należących, jeden z nich miał nawet gruźlicę wątroby. Wygląd i stopień rozwoju i uszkodzeń gruźliczych dowodził, że ich początek sięgał pierwszych dziesięciu dni zetknięcia się tych zwierząt ze zwierzętami tuberkulicznemi.

Trzy woły *nieszczepione* drugiej kategorji, te które pozostały przy życiu, a które otrzymały laseczniki do żyły szyi, miały ogromne uszkodzenia zserowaciałe lub zwapniałe płuc i ich gruczołów chłonnych. Dwa miały także gruźlicę wątroby.

Wszystkie woły *nieszczepione* trzeciej kategorji były chore na gruźlicę; wszystkie miały wielkie uszkodzenia na skórze z zajęciem odpowiednich gruczołów. Pięć wśród nich było chorych na płuca z zajęciem gruczołów chłonnych klatki piersiowej.

Tak więc ani jedno zwierzę nieszczepione ochronnie nie uszło zakażeniu gruźlicy sposobami, użytemi przez Vallée.

Inaczej się rzeczy miały ze zwierzętami, szczepionemi ochronnie. Już wiemy z doświadczeń z tuberkuliną, że dwa woły *szczepione* pierwszej kategorji, wystawione na zakażenie przez pożycie z wołami tuberkulicznymi, na tuberkulinę nie reagowały. Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa zarażenia gruźlicą uniknęły. Jest to dla nas rezultat najważniejszy, bo sposób zarażenia, jakiemu te woły zostały poddane, najbardziej odpowiada warunkom naturalnym.

Z sześciu *szczepionych* drugiej kategorji, cztery osobniki okazały się zupełnie zdrowemi. Piąty miał jeden jedyny guzełek zwapniały w jednym z gruczołów klatki piersiowej, szósty wreszcie, chory na chroniczne zapalenie płuc, miał kilka guzełków serowato zwapniałych w gruczołach klatki piersiowej; w płucach jego nie było zupełnie uszkodzeń gruźliczych. Uszkodzenia natury gruźliczej jego gruczołów chłonnych należy tłumaczyć według Vallée trudnością, jaką musiały mieć chore płuca w pochłonięciu laseczników, wprowadzonych do organizmu przez ochronne szczepienie.

U wołów *szczepionych* 3-iej kategorji nie było ani jednego wypadku zajęcia płuc. Urażenia skórne, w miejscu wstrzyknięć, były bardzo małe w porównaniu do tychże u wołów świadków. Gruczoły miejscowe podskórne zostały zajęte tylko u trzech osobników (na 7-em) i to jeden tylko wypadek zasługuje tu na wzmiankę, bowiem w dwóch innych znaleziono po jednym tylko gruzełku serowato-zwapnialym. W jednym poważnym wypadku zajęcie gruczołów podskórnych, pozostających w związku z miejscem, w którem wstrzyknięcie laseczników było dokonane, było kompletne, nadto znaleziono uszkodzenia natury gruźliczej gruczołów chłonnych klatki piersiowej. Był to jedyny wypadek, na piętnaście wołów szczepionych, w którym ochronne szczepienie nie było wystarczające, by uodpornić zwierzę od zarażenia się doświadczalną gruźlicą.

Tak więc na pytanie, jakie postawił Vallée na początku swych doświadczeń, czy szczepienia ochronne metodą Behringa zabezpieczają woły od gruźlicy, można odpowiedzieć twierdząco: *ochronne przeciwgruźlicze szczepienia bydła metodą Behringa chronią zwierzęta od gruźlicy.* A gdy do tych doświadczeń dołączymy sprawozdania Romera, współpracownika Behringa o rezultatach stosowania ochronnych szczepień bydła w posiadłościach arcyksięcia austrjackiego Fryderyka i księcia bawarskiego Ludwika, możemy dziś śmiało twierdzić, że kwestja walki z gruźlicą wołów została dziś rozstrzygnięta. Bo do tej walki posiadamy obecnie środek o wiele potężniejszy od środka leczniczego, środek zapobiegawczy. Cała historja seroterapji wykazuje, że największe trjumfy w walce z chorobami zakaźnemi odniosły dotąd szczepienia ochronne przeciw chorobom tym stosowane. Szczepienia ochronne przeciw wściekliźnie, dżumie, cholerze karbunkułowi, tężcowi mają za sobą poważne statystyki. Statystyka ochronnych szczepień od gruźlicy na te same wstępuje dziś tory.

W posiadłościach arcyksięcia austrjackiego, przed stosowaniem ochronnego szczepienia przeciw gruźlicy procentowy stosunek wołów tuberkulicznysh do zdrowych był następujący:

na 429 zwierząt, mających mniej niż rok, 46 tuberkulicznych na sto;

na 797 zwierząt, mających od 1-go roku do 2-ch lat, 67 tuberkulicznych na sto;

na 908 zwierząt, mających 2 lata lub więcej 87 tuberkulicznych na sto.

W dwa lata po ochronnem szczepieniu stosunek ten znacznie się zmienił:

na 233 zwierząt tylko 6,4 tuberkulicznych na sto;

na 85 zwierząt świadków 40 tuberkulicz. na sto.

Statystyka księcia bawarskiego jest niemniej przekonywająca. Przed szczepieniem ochronnem liczono 68,3 na 100 chorych zwierząt. W dwa lata po szczepieniu na 590 osobników znaleziono 5,6 podejrzanych zwierząt na 100.

Niestety, metoda Behringa nie może być stosowana do ludzi. Nikt bowiem nie odważyłby się robić ludziom wstrzyknięć wewnątrzżylnych złośliwych laseczników gruźliczych. Behring pisał o tej trudności, ogłaszając swą metodę. Ale sądził on wtenczas, że ochronne szczepienia, robione krowom, nadadzą mleku tych zwierząt własności uodporniające, a takie mleko, dawane niemowlętom, będzie ich chroniło od gruźlicy. Dziś jednak kwestja ta upadła. Vallée natomiast oświadcza, że w biegu doświadczeń miał sposobność się przekonać, że ochronne wstrzykiwania bardzo nawet złośliwych laseczników Kocha pod skórę, od gruźlicy nie chronią. To też sprawozdanie swe z doświadczeń w Melun, wygłoszone przed komisją ministerjum spraw wewnętrznych, na posiedzeniu dnia 10-go lutego, sprawozdanie, o którem była mowa na początku artykułu, zakończył temi, niepocieszającemi dla nas słowy: „Dla człowieka kwestja pozostaje jeszcze do zbadania, a rezultaty, zdobyte na zwierzętach, mało dają nadziei na powodzenie, gdy się nas dotyczy.“ Ale nadzieja nas nie opuszcza, bo Behring zapowiedział, że posiada już dzisiaj środek leczniczy na gruźlicę ludzką, a Behring nie zdradził jeszcze dotąd żadnej, danej przez się, zapowiedzi naukowej.

SPRAWOZDANIA.

—o—

Józef Weyssenhoff. Dni polityczne Serja I. Narodziny działacza.

W utworze Weyssenhoffa występują dwa pierwiastki: wybornie zaznaczony — ironicznej negacji, odarcia ze złudnych blasków, uwypuklenia rzeczy błahych, ośmieszenia i — nieśmiało wysuwające skromny pyszczek zwierzątko — ideał.

Pierwiastek ironiczny, satyra efektowna, choć powierzchowna — to trjumf autora „Dni politycznych." Ma on niepospolite oko i biegłą rękę. Karykaturuje od niechcenia w zdaniach krótkich, złośliwych, błyskawicznych, nieraz karykaturuje zabójczo. Umie naszkicować z niepospolitą plastyką wizerunek satyryczny. „Dni polityczne" mają ukazywać się w ciągu dalszym, zdążając za biegiem wypadków, i stanowić będą (według zapowiedzi autora) ich kronikę w obrazach i rozmowach. W pierwszej serji „Dni politycznych"—„Narodzinach działacza" przedstawia autor przetworzenie się Apolinarego Budzisza z ciemnego i ograniczonege szlagona w działacza politycznego. Pierwszego bodźca do tej niefortunnej metamorfozy współczesnej daje Budziszowi Stowarzyszenie (N. D.), które go wciąga w wir, jeśli nie politycznego życia, to przynajmniej politycznej kołowacizny. Budzisz, dzięki dwom apostołom Stowarzyszenia Hycowi i Kotulskiemu, naszkicowanym z wyjątkowo zjadliwą precyzją, zostaje jego członkiem. Zresztą Stowarzyszenie żąda od członków swych bardzo niewiele — tyle tylko, aby solidaryzowali się z komitetem. Są oni całkiem nieświadomi celów i zamiarów partji, komitet jest wszystkiem, otacza się wysoko-kapłańską tajemniczością, drapuje w szaty wzniosłego posłannictwa, a nie robi nic lub bardzo mało. Są więc „Narodziny działacza" dowcipną satyrą na N. D., na czczość i pustkę jej górnej frazeologji, na jej fałszywy patos, chimeryczną chwiejność i mglistą nieokreśloność jej celów i zamiarów. Budzisz, zostawszy członkiem Stowarzyszenia, jeździ po sąsiadach i kaptuje mu zwolenników, choć o Stowarzyszeniu wie tylko tyle, że należy się solidaryzować z komitetem. To podróżowanie po dworach obywatelskich daje możność autorowi naszkicować kilka wybornych postaci ze świata ziemiańskiego jak hulaki i karciarza Gałązki, mądrego, z angielska sztywnego Wapowskiego, naiwnego biedaka Pruszczyńskiego i innych, których Budzisz z niezachwianym uporem człowieka nietęgiej głowy usiłuje przeciągnąć na stronę Stowarzyszenia.

Ale kiedy zbliżają się wybory do wielkiej Rady, Budzisz, już poprzednio nieco zachwiany i zniechęcony postępowaniem komitetu, który patrzy nań ze swej wysokości, jak na mizerną mrówkę lub, conajwyżej, osiołka, obracającego żarna dla półbogów, nie znajduje swego nazwiska na liście zaleconych kandydatów. Ten straszliwy cios wpędza go w ciężką chorobę, z której powstaje odrodzony, zaczyna mówić rzeczy podejrzanie niezwykłe, ściąga i grupuje koło siebie ludzi, i oto dotychczasowy człowiek zaściankowy staje się działaczem politycznym dzięki temu, że obudzono w nim i podrażniono smoka próżności i żądzy rozgłosu.

Ale satyra to dopiero pierwsza najbarwniejsza połowa obrazu, jego druga strona — to dążenie do ideału uwydatnione bardzo nieśmiało, dyskretnie, a jednak dość wymownie. Autor obchodzi się ze swym ideałem dość ostrożnie i nie wystawia go zbytnio, ale pomimo dyskretnych wybiegów i angielskich manier wyziera ku czytelnikowi oblicze czystej wody realisty i tu jest początek nowej satyry, już nie pożądanej przez autora, lecz mimowolnej. Autor ośmieszając polityków, stworzonych na miarę krawca, staje w szeregach ludzi politycznych bynajmniej nie fidjaszowej miary. Łatwo zauważyć, że kiedy dotknie, naprzykład, sprawy szkolnej uśmiech wytwornisia znika mu z warg, a w gardle bulgotać poczynają perły wymowy w stylu prałata, zapatrzonego w oblicze Popielów, Szembeków i innych wielkosci podobnego pokroju. I to stanowisko wykreśla zapewne przyszłym „Dniom politycznym" rozmiar satyry błyskotliwej, lecz powierzchownej, bo autorowi brak szerokiej podstawy myślowej, bo opisując zabawny ceremonjał polityczny ludzi o wątpliwej tęgości ideałach społecznych, sam należy do stronnictwa, które osłania i osłaniać będzie chudość swej idei sutem ubrankiem. „Dni polityczne" będą zapewne szeregiem ironicznych spostrzeżeń, kolekcją śmiesznych gestów, spojrzeń, ruchów i grymasów osób, biorących rzekomo udział w dramacie chwili obecnej, a wysuwanych przez autora na czoło dzięki stanowisku społecznemu, lecz dusza dramatu, siła twórcza, istotna energja i piękno chwili dziejowej wyjdą na stanowisku autora jak najgorzej, a może całkiem zostaną pominięte.

A jeżeli przypuszczenia te okażą się zawodnemi, to, bądź co bądź, będziemy mieli do czynienia nie z dotychczasowym p. Weyssenhoffem, lecz z p. Weyssenhoffem odrodzonym, jak Budzisz po ciężkiej chorobie.

L. Choromański.



Otwarcie Dumy.

Petersburg. 10/5 — Zrana odbyły się we wszystkich cerkwiach i świątyniach nabożeństwa uroczyste.

W południe w Pałacu Zimowym odbyło się wystąpienie Najwyższe wobec zebranych przedstawicieli mocarstw zagranicznych i dostojników Państwa.

Po wniesieniu regaljów do sali koncertowej Cesarz, obie Cesarzowe i Wielcy książęta weszli do sali tronowej św. Jerzego, dokąd na chwilę przedtem wprowadzono członków Rady i Dumy Państwa.

Metropolita petersburski odprawił w sali nabożeństwo, którego Monarcha i Cesarzowe wysłuchały stojąc.

Po modlitwach Mikołaj II wstąpił na tron, obie Cesarzowe zajęły miejsca po prawej stronie, Wielcy Książęta i dygnitarze ustawili się na stopniach tronu.

Z wysokości tronu Cesarz wygłosił następującą mowę:

„Z wyroków Opatrzności zlecona Mi troska o dobro ojczyzny natchnęła mnie myślą powołania do współudziału w pracy prawodawczej osób, wybranych przez naród.

„Z płomienną wiarą w jasną przyszłość Rosji witam w osobach waszych tych najlepszych ludzi, których rozkazałem ukochanym poddanym Moim wybrać od siebie. Trudna i ciężka praca czeka was. Wierzę że miłość ojczyzny i chęć gorąca służenia jej i podniecą was i zjednoczą.

„Ja zaś będę bronił niezachwianie ustaw, nadanych przeze mnie z silnem przekonaniem, że Wy oddacie wszystkie wasze siły na pełną poświęcenia służbę dla ojczyzny, mającą na celu wyjaśnienie potrzeb tak bliskiego Memu sercu włościaństwa, oświaty ludu, rozwinięciu jego dobrobytu, pamiętaniu, że dla duchowej wielkości i dobrobytu państwa niezbędna jest nie sama wolność, lecz niezbędny też jest porządek, uzasadniony na prawie.

„Oby spełniły się gorące życzenia Moje ujrzenia ludu Mego szczęśliwym, abym mógł synowi Memu przekazać w spadku Państwo potężne, dobrze urządzone i oświecone. Niech Bóg błogosławi prace, które czekają Mnie razem z radą państwa i dumą państwową i niech upamiętni się dzień ten, odtąd jako dzień odnowienia moralnego oblicza ziemi rosyjskiej, dniem odrodzenia jej najlepszych sił. Przystąpcie ze skupieniem ducha do pracy, do której was wezwałem i usprawiedliwicie godnie zaufanie Cesarza i narodu. Niech Bóg pomaga Mnie i wam.“

Petersburg 10-go maja. *(T. K. W.)* — Na pierwsze posiedzenie Dumy przybyło przeszło 400-tu posłów. Na prezesa wybrano prof. Muromcewa.

Petersburg 10 go maja. *(T. K. W).* — Po wejściu na trybunę prezesa Dumy, Muromcewa, udzielono głosu Petrunkiewiczowi, którego mowę przerywała izba częstemi oklaskami.

Mówca powiedział:

„Obowiązek honoru i sumienia nakazuje, ażeby pierwsza myśl nasza, pierwsze nasze swobodne słowo było poświęcone tym, którzy swoją wolnością przypłacili wyswobodzenie ukochanej ojczyzny. Wszystkie więzienia są przepełnione w kraju; tysiące rąk wyciąga się błagalnie po ratunek. Obowiązkiem tedy jest sumienia użyć wszelkich wysiłków, ażeby wolnosc, którą zdobywa sobie Rosja, nie kosztowała już więcej ofiar.

Odkładając rozważenie tej sprawy do odpowiedzi na mowę Tronową, nie możemy powstrzymać się od wyrażenia nagromadzonego w sercach uczucia goryczy, od wypowiedzenia, że swobodny rozwój wymaga uwolnienia wszystkich, którzy cierpią.

Następnie Murowcew podziękował za wybór i rzekł: „Poważna praca wymaga szacunku dla władzy zwierzchniej.

Posiedzenie musi być przerwane, gdyż według prawa prezes winien donieść Monarsze o swym wyborze.

Następne posiedzenie w sobotę o godz. 11-ej przed południem. Odbędzie się na niem wybór wiceprezesa biura izby.

Wiadomości Bibljograficzne.

Józef Weyssenhoff. Dni polityczne. Serja I. *Narodziny działacza.* Warszawa 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Faustyna Morzycka. Powrotne fale. Dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego. Warszawa 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Józef Albin Herbaczewski. Potępienie. Tragedja duszy. (Cztery miraże na pustyni klątwy i wygnania). Rok 1906. Księgarnia G. Gebethnera i Sp.

Kazimierz Rudnicki. Biskup Kajetan Sołtyk. (Tom V. Monografje w zakresie dziejów nowożytnych, wydawca Szymon Askenazy. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem imienia dr. med. Józefa Mianowkiego). Kraków i Warszawa 1906. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

J. Łukasiewicz, Wł. M. Kozłowski. St. Kobyłecki i St. Bobiński. Przyczynowość. Prace nagrodzone na konkursie „Przeglądu Filozoficznego.“ Przegląd filozoficzny. Zeszyt II i III. Warszawa 1906.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca *Stefan Szczawiński.* Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.